



Oto ja służebnica Pańska!

Abonament roczny: 1 zł. Pojedynczy numer: 5 gr.  
Abon. roczny, zbiorowy, płatny zgóry, dla Oddziałów KSK.: 50 gr.

Redakcja i Administracja: Tarnów, Pl. Katedralny 6

Telefon: 110  
P. K. O.: 414.329

**Odnowić wszystko w Chrystusie!**

Irena Breza.

## Na gwiazdnym szlaku.

Od słowa do słowa i doszło znowu do kłótni. Zamiast milczeć, znając popędliwość męża, Magda rozżalona na niego za przykre i niesprawiedliwe narzekanie, wybuchnęła potokiem płaczu i skarg. „Zły jest, skąpy, nie dba o nią, ni o dzieci, pieniędzy daje mało, a wymaga wiele“. Mówiła tak, pochlipując i użalając się na niego, choć w głębi duszy czuła, że jest niesprawiedliwa, bo przecież Marcin o rodzinę dbał zawsze, mimo że w złości i gniewie znęcał się nad nią bez opamiętania. Najczęściej, podrażniony jakimś niebacznym słowem żony, rzucał się, kłął i ciskał po chałupie o byle głupstwo.

Zaś kobiecina, choć pocziwa i zacna, ot tak trochę z ogólnego zwyczaju, trochę dla ulżenia sobie w tych ciężkich czasach, lubiła nieraz ponarzekać. Marcin tego nie znosił — zdawało mu się wtedy, że Magda jest zbyt wymagająca, że wszystkiego jej mało, że grymasnica. W gruncie rzeczy jednak znał dobrze swoją żonę i na zimno wiedział, że nie chce mu dokuczać narzekaniem, ani pretensji do niego nie ma i że dobrą i kochającą jest żoną.

Ale takie już miał usposobienie i niestety charakter mało wyrobiony pod tym względem, nad czym głęboko bolał. Nie umiał panować nad sobą i najmniejszy drobiazg wyprowadzał go z równowagi. I wtedy ten człowiek zany i szlachetny, ceniony przez wieś, kochany przez rodzinę, człowiek o gorącym i dobrym sercu, zmieniał się w tygrysa. Rzucał z oczu błyskawice, z ust najgorsze obelgi i grubiaństwa, — słowa, w które na zimno nigdy nie wierzył i których nie pamiętał. Bała się go wtedy żona, drżały przed nim dzieci ukochane, krytykowali sąsiedzi. Wykrzyczawszy się, trząskając drzwiami i wynosił się z domu. Po jakimś czasie wracał uspokojony, ale oczy mącił żal i smutek. Trapiły go wyrzuty sumienia — podle postępował z żoną. Ale przeprosić jej nie umiał — czekał od niej zawsze cieplejszego słowa, cieplejszego spojrzenia. A ona zgubiona w rozpacz — nie znała tej drogi do jego serca. Nie rozumiała, że godzien jest litości, a potrzebuje ciepła i przebaczenia. Gdyby umiała była zdobyć się na taką dobroć, może byłaby go za każdym razem doprowadziła do równowagi, a powoli i do zupełnego uspokojenia. Ona jednak, pełna żalu za gniew niesłuszny, za obelgi, zaciniała się, zamykała w sobie, stawała się ponura, jak dzień słotnej jesieni i zimna, jak lód. I nieraz jedno nieopatrzne słowo wymówki sprowadzało nową burzę.

Tak i tym razem. Zaczęło się od urażnych przyrównań, a skończyło na takiej awanturze, jaka dotąd nigdy jeszcze nie miała u nich miejsca.

Był czas żniw — oboje przemęczeni, nie panowali nad sobą. Drobne z początku starcie rosło do olbrzymich rozmiarów. W pewnej chwili Marcin, uniesiony gniewem, rzucił się na żonę i uderzył ją w twarz, nie panując nad sobą, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni.

W momencie, kiedy dłoń męża dotknęła jej policzka, Magda doznała dziwnego uczucia. Zdawało jej się, że ziemia się przed nią otwiera, a ona leci w dół. Serce otoczyły rozpalone obręcze i ścisnęły je aż do utraty przytomności. Nie czuła już dalszych razów, leczących poprzez plecy, głowę, ręce. Słyszała tylko żalostny, straszny płacz dzieci i trzaśnięcie drzwiami.

\* \* \*

Na bezmiernym, szafirowym niebie lśniły złociście gwiazdy i raz po raz w dalekiej przestrzeni leciały ukosem ogniste ich płatki. Patrzyła w nie Magda z tęsknotą, udreńczonym, nieswoim wzrokiem. W martwym bezwładzie tkwiła pod drzwiami

mi domu. Obojętna — ogłuchła na wszystko; tylko w ten gwiazdny szlak była wpatrzona duszą całą, uciekającą z niedoli.

Z otwartego okna izdebki wypłynęło kwilenie dziecięcia. Nie poruszyła się Magda, nie drgnęła nawet. Jakby nie jej, nie własne. Ciężkim, bezwładnym kamieniem przywarła w bezruchu do progu.

„A niechta, a niechta!“

Usta, zacięte ostrą linią cierpienia, znaczyły znękaną twarz.

Dziecko znów zakwiliło. Ale Magda się nie rusza. Po co? Tak najlepiej. Ni w domu, ni poza domem, właściwie nigdzie — nawet nie wie już, gdzie jest. Tylko pod lewą pierśią kłujący czuje ból. Ech, dałoby jej już spokój to serce. Niepotrzebnie drezczy. Mogłoby już raz się uciszyć.

I głowa. Czemuż w niej tak szumi? Te myśli, te myśli. Tłoczą się, aż mózg od nich pęka.

„Marcin... och Marcin — czemu, czemu tak się stało? Czemuż mnie biłeś, Marcinie!“

— Ach to ja, ja w nim zawsze wywołuję tę złość piekielną. Ja! Po co narzekam, po co gderam, po co go kłuję słowami? Boże, jaki on straszny w gniewie, ja go nienawidzę. Bunt, bunt jest we mnie. Nie chcę, nie chcę go więcej widzieć. O... żebym tak mogła zamrzeć na tym progu, tylko w te gwiazdy wpatrzona.

Boże, jak ciężkim jest życie! Już nie mogę, nie umiem, nie potrafię. — Okrutny los!...

...A przecież sama — sama byłam winna. Jad jest we mnie i żal i złość.

Marcin, och gdzież on poszedł? Żeby już wrócił. Tak ciężko samej. A może dziś przyjdzie i powie: Przebacź!

Łzy zastąpiły źrenice z nadmiaru bólu i tklivosti zarazem; bo gdybyż tak przyszedł i powiedział: „Przebacź“.

Ciężko, wołowym ruchem, zgarbiony, jak w jarzmie zbliżał się Marcin do chaty. Przez próg przeszedł niewidzący i niesłyszający. Tak, jakby tam wcale jego biednej, udreńzonej Magdy nie było. Twardo, nieustępliwie zamknął za sobą drzwi.

Znów skarżyło się zranione serce Magdy.

„Nie chce zrozumieć mej niedoli, nie odczuwa mego cierpienia, nie czuły na moje łzy. Cóż go ja obchodzi? Ach... okrutny. Gdyby, gdyby jednak tak podszedł, ujął za rękę, powiedział słowo. Jakże radośnie by mu przebaczyła, jakżeby go znowu kochała“.

„O Matko Najświętsza dopomóż“ — słała modlitwę ku niebu, z którego znowu sypały się gwiazdy.

„Tak lecą te gwiazdeczki, jak złote gwiazdy łask z płaszczka Niebieskiej Pani. Gdybyż, gdybyż tak dla mnie choć jedna!“

Ciężkie westchnienie męskiej piersi doleciało przez okno do uszu Magdy.

„Źle mu jest, cierpi. On też, jak i ja“...

„O! Znów gwiazda przeleciała. Taka jasna, jasna gwiazda. Acha! Co mi to kiedyś matula o gwiazdach mówili? W taki sam sierpniowy wieczór. O pamiętam. „Bądź Magduś, jako te gwiazdki, co je na niebiosach widzisz. Miej duszę, jako ta droga mleczna, pełna światłości i blasku. Miej serce od cnót złote, jak złotą jest ta gwiazda, we wszechświata leżąca. Patrz, jak ona błyszczy i świeci, przemierzając drogi ciemności. Niech i twe serduszko, dziecino, brnąc z tobą po drodze żywota, tym jaśnieji świeci blaskami cnót, czym ciemniej będzie ci w życiu. Jak te gwiazdki na niebie“.

O jakże to już dawno mówiła matka. Taka sama była noc i tak samo od gwiazd płomieni paliło

się niebo, a błyszczące meteory raz po raz, jak dziś, odrywały się od górnych sfer. Ona, maleńka jeszcze wtedy Magdusia, z głową na matczynych kolanach, z oczyma utkwionymi w dal, pytała o tajemne drogi wszechświata. O mocy Bożej wszechpotężnej i wszechwielkiej mówiła jej wtedy matka, i o jej sercu, by było jasne, cnót pełne i blasku.

A ona, jak ta gwiazda, gdzieś spadła w ciemności i niewidząca jest i niesłyszająca — głucha na wszystko.

Głucha? Och nie — toć słyszy przecie, jak w izbie znów westchnął boleśnie jej mąż... On także...

I nagle przyszło to na nią, jak olśnienie, jak gwiazdny prąd. Przeleciało strzałą nakazu przez mózg i przez serce: Opamiętanie.

Zerwała się z progu, pchnęła z mocą drzwi.

„Panienko Najświętsza dopomóż, wszakżeż to z Twego płaszczka łask lecą dziś ku mnie gwiazdy“

Pełna natchnienia i nowych serca sił, weszła do izby.

Marcin siedział na ławie. Wspierał się łokciami o stół, w grubych dłoniach trzymając beznadziejnie pochyloną głowę. Podeszła do niego pełna słodkiej przemiany: dobroci, co jej rozpięła pierś i szła ku niemu, jak iskra gorąca, a jak pieśń jakaś rzewna i serdeczna.

„Panno Najśw.“... — zamarła jej modlitwa na ustach.

Marcin się poruszył. Teraz nie śmiała ani naprzód, ani w tył. Trwała tak w bezruchu, okryta potem. Ale kiedy biedna głowa Marcina pochyliła się jeszcze niżej, już była przy nim.

„Marcyś, Marcyś, Marcyśiu“ — szloch wy dobył się z gardła — „Marcinie“!

W lodowate dłonie ujęła jego umęczoną głowę. Przez palce sączyły się łzy. Jego łzy.

„Nie płacz, tylko już nie płacz, Marcinie; ja się nie gniewam, ja cię nie obwiniam. Wiem, że jesteś dobry, że mię kochasz i źle mi nie chcesz czynić. To moja wina — ja cię drażnię, ja cię denerwuję, ja cię niepotrzebnie doprowadzam do złości. A przecież wiem, że jesteś gwałtowny i powinnam się starać nie wywoływać twego gniewu, nad którym potem tak cierpisz. To ja jestem zła, gorsza od ciebie; przez moje postępowanie doprowadzam cię do wybuchów. Ty masz przecież złote serce, Marcinie, ja ciebie dzisiaj dopiero zrozumiałam. I siebie też. Słuchaj! Rozpocznijmy nowe życie. Postaram się być lepszą, zobaczysz. Bo spłynęło dziś na mnie światło gwiazd — spłynęła dziś na mnie łaska Matki Bożej. Dotąd cierpiałam, tylko nad własnym rozczulając się nieszczęściem — dziś nauczyłam się cierpieć z tobą. Wybacz to, co było i wierz mi, że i ja nie mam do ciebie żalu, ni urazy. Kocham cię i o twoim gniewie na zawsze zapomnę“.

Łzy, jak deszcz obfity, spłynęły z oczu Marcina. A kiedy Magda skłoniła ufnie głowę na jego ramieniu, objął ją przepojony nadmiarem szczęścia w duszy i gorąco przytulił do siebie.

„Magduś moja jedyna! Jakaś ty dobra, Magduś“.

Jeszcze tej samej nocy zapaliła Magda lampkę oliwną przed obrazem Matki Boskiej i klęcząc razem z mężem skroń przy skroni, sercem przy sercu, dziękowała tak, jak i on, ze wzruszeniem najgłębszym za doznana łaskę, prosząc o pomoc w wytrwaniu na nowej drodze życia: na gwiazdnym szlaku.

Na drugi dzień wieczorem siedziała Marcinowa znowu na progu chaty, ale już nie sama. Był z nią jej mąż i roześmiane, uszczęśliwione — ze zgody rodziców — dzieci. Szczęście, jak księżyc, otoczyło ich blaskiem.

## W Y C H O W A N I E

M. Starowiejska.

**Złośnik.**

U wielu dzieci spostrzegamy wczesnie wybuchy gniewu. Malec taki, z powodu łada przeciwności, wpada w złość, tupie nóżkami, zaciska piąstki, blednie, a nawet rzuca się na ziemię. Objawy te są wynikiem usposobienia, czyli temperamentu gwałtownego, którego lekceważyć się nie powinno, ale z wielką rozumą przystąpić do zwalczania tej niebezpiecznej wady. Biada dzieciom, których roztropne wychowanie nie uzbroido w odporność przeciw złości, tj. nie nauczy zawczasu panowania nad sobą i hamowania, zapomocą żelaznej woli, swej porywczej natury.

Chciałabym aby matki, mające takie właśnie przykłady w rodzinie, dobrze zrozumiały, na czym ta praca polega.

Dziecka o usposobieniu gwałtownym nie uda się nam zmienić w łagodnego baranka — gwałtownik do końca życia będzie miał kłopot ze swą popędlivością — należy jednak nauczyć go już w dzieciństwie ujarzmiania gniewnego słowa, poskramiania wybuchów. W tej pracy wychowanie religijne odda nieocenione przysługi i stanie się ostoją, do której młodzieniec, dobrze znający swe trudności, nieustannie będzie się zwracał.

Przy pierwszych objawach silnej irytacji u małego dziecka, będziemy trzymać się zasady, że „nie wolno się złościć”; zaznaczając dobitnym słowem ten zakaz, trzeba równocześnie zwrócić uwagę dziecka na inny przedmiot. Pamiętajmy, że malec jest wrażliwy — doprowadzenie do gwałtownych scen i łez, osłabia jego system nerwowy, nawet nadwyręża zdrowie, zatem w najpierwszych latach unikajmy o ile możliwości u dziecka wybuchów i nadmiernego płaczu. Nie pozwalajmy innym dzieciom drażnić złośnika, wywołując tym niepotrzebne a szkodliwe awantury.

Wobec dziecka, skłonnego do złości, matka musi sama zachować zawsze największy spokój, nie podnosić głosu, nie uderzać nigdy w gniewie. Wszelkie wybuchy starszych dolewają tylko oliwy do ognia. Można karcić słowy, a nawet karać surowo złośnika, ale dopiero wtedy, gdy burza przeminęła.

Skoro dziecko dojdzie do rozumu na tyle, że samo jest odpowiedzialne za swe czyny i słowa, należy z wielką miłością i troskliwie pokierować jego wyrobieniem, dając mu zrozumieć, że odtąd złość swoją on sam już zwalczać musi, ale że od matki zawsze oczekiwać może życzliwej pomocy. Pogadanki religijne niech będą punktem wyjścia i osią programu: dziecko chętnie słuchać będzie o wielkiej dobroci Stwórcy; o Dzieciątku Jezus, które już w szopce betlejemskiej rozpoczęło swój zawód cierpienia za nasze winy; o nieskończonej miłości Zbawiciela, który chciał stać się naszym chlebem codziennym w Eucharystii; o niewyczerpanej słodyczy i orędownictwie Matki Najświętszej. Wszelko, co dotyczy cnót łagodności i pokory, przemówi do

dziecka, wywoła w nim żal i niechęć do własnego nieopanowania, którego zaczyna się wstydzić, a jeżeli — Broń Boże — szkodę tym komu wyrządził, radby ją za wszelką cenę cofnąć, czy wyrównać. Bądźmy wyrozumiali, gdy — w ten sposób na dobrą drogę wprowadzony mały grzesznik — nie jeden raz popadnie jeszcze w swoje błędy — należy go pocieszyć, że złość tak prędko poskromić się nie da i tylko codziennym staraniem i wytrwałym bojem możemy ją pokonać.

Ale na przewyżczenie szatana, który ubiega się o straconą pozycję, mamy pomoc w czujności Anioła Stróża, obrońcy św. Patrona, a przede wszystkim: „Gdy Bóg z nami — któż przeciw nam“?

Przygotowanie do Sakramentów św. i pobożnie przyjęta I. Komunia św. bywa nieraz punktem zwrotnym w rozwoju duchowym dziecka. Zadaniem matki jest postarać się o rozbudzenie w nim życia wewnętrznego, które potem umiejętną rozmową i zawsze gotową radą i pomocą będzie się starała rozwijać. Nie ustawać też w gorącej modlitwie, choćby na pozór nie było widać postępów.

Ta współpraca matki chrześcijanki z ukochanym dzieckiem na polu cnoty i zasługi nie może nie wydać owocu — i zazwyczaj nagrodę swych modlitw i wysiłków widzi ona jeszcze w tym życiu, gdy z dziecka, które popadało w bezprzykładne wybuchy złości, wyrośnie człowiek silny, opanowany, kierujący się rozumną wolą, a nie miotany wichrem gniewu i namiętności.

Anna Konopczyńska.

**Droga ze szkoły do domu.**

Różne są warunki życia, a co za tym idzie, różne są warunki wychowania dzieci. Dużą rolę odgrywa tak prosta rzecz, jak bliskość lub odległość szkoły od domu. Najszczęśliwsze i najwygodniejsze tak dla rodziców, jak dla dzieci jest to położenie, gdy szkoła jest blisko domu, gdy ta droga z domu do szkoły i ze szkoły do domu trwa jak najkrócej.

Zastanówmy się nad tym, dlaczego taką wagę tej sprawie przypisujemy. Na pozór nie jest to nic ważnego, a jednak sprawa się tak przedstawia, że w tym czasie drogi do szkoły dzieci są na swojej odpowiedzialności, są poza oczyma tak matek, jak nauczycieli. Narażone są wtedy na różne niebezpieczeństwa, które trzeba rozważać i znać. Jeżeli odległość jest duża, to dziecko ulega silnemu zmęczeniu, idąc długi kawałek drogi, łatwo zaziębia się przychodząc do szkoły z przemoczonymi nogami w zimie i siedząc potem w klasie parę godzin w mokrym obuwiu. W dojazdach pociągiem mniej jest zmęczone, ale za to narażone na niebezpieczeństwa innej natury.

Łatwo jest narzekać, ale jak na tę trudność poradzić?

Najszczęśliwiej by było, żeby w każdej wiosce była szkoła. Mamy wszyscy wiarę, że przy pomocy Bożej i dobrej woli ludzkiej dojdziemy do tego po jakimś czasie. Na razie trzeba inaczej sobie radzić. Są miejscowości, gdzie rodzice z nauczycielstwem załatwili tę rzecz w ten sposób, że każdy gospo-

darz po kolei odwozi dzieci z danej miejscowości do szkoły i ze szkoły i opiekuje się nimi wtedy.

Czasem da się to tak załatwić, że korzysta się z jakiejś stałej okazji, np. dowożenia mleka do mleczarni, czy coś podobnego.

Jeżeli nie można zorganizować dowożenia dzieci, to bardzo dobrze by było, aby matki odprowadzały swoje i sąsiadów dzieci, każda po kolei, choć kawałek drogi. Przy rozłożonej rozumnie kolejności nie byłoby tym za nadto przeciążone.

Ale przecież samo zmęczenie dzieci, czy też możliwość zaziębnienia nie są tak niepokojące, by taki alarm robić. O cóż więc chodzi? O to, że — jak już mówiliśmy — dzieci są poza oczyma starszych i narażone są na różne niebezpieczeństwa moralnej natury. Ileż to w czasie takiej długotrwałej drogi do szkoły jest okazji do złego przykładu, do zbliżenia się z jakimś złym kolegą, czy koleżanką, którzy namawiają i kuszą do niedobrego postępowania.

Najgorsze pod tym względem bezsprzecznie to są dojazdy koleją. Boże drogi, ileż to naprawdę gorzących rzeczy może zaobserwować ktoś uważny, jadący pociągiem ze szkolną młodzieżą.

Jakaż może być na to rada?

Dzieci są dziecinne — puste i lekkomyślne, łatwo poddają się złym wpływom i pokusom. Trafiają się między nimi takie, które pouczone i ostrzeżone przez rodziców, czy nauczycieli, specjalnie pilnują siebie i innych, aby poza oczyma opiekunów dobrze postępować.

Ale prawdziwie poradzić na to może tylko tro-

ska, zainteresowanie i udział starszego pokolenia, które ma styczność z dziećmi spieszącymi do szkoły i do domu.

A więc społeczeństwo w miastach, pasażerowie w kolei czy tramwajach, ludzie pracujący w polu, czy też idący drogą, powinni się poczuwać do wspólnej odpowiedzialności i obowiązku opieki czynnej nieraz.

Nie można patrzeć się obojętnie, gdy idące dzieci z lubością obłamują drzewka przydrożne, skubią groch z półki jakiegoś gospodarza, owoce z ogródków i t. d.

Nie wolno słuchać ze spokojem, gdy w pociągu widzi się, jak pokazują sobie jakieś nieodpowiednie obrazki, książki, czy wierszyki i zaśmiewają się z tego.

Nie można tolerować, gdy zachowują się nieładnie i nieodpowiednio, gdy drażnią się między sobą, gdy są bez uszanowania dla starszych, słabszych, czy chorych.

My wszyscy, mający okazję widzieć i spotykać tę dzieciarnię i młodzież spieszącą do szkół, jesteśmy obowiązani zaopiekować się nimi, uważać na nie, w razie potrzeby skarcić, czy powstrzymać przed złym. Naturalnie, że takie rzeczy trzeba robić z umiarem i taktem, nie chodzi o to, żeby urządzić awantury i gniewy, ale by naprawdę opiekować się całą młodzieżą, niezależnie od tego, czy to są bliźsze i znajome bardziej nam dzieci, czy nie.

Kto prawdziwie kocha dzieci i nosi w sercu troskę o przyszłe nam pokolenia, temu ta miłość na pewno słusznie podyktuje, jak postępować, by temu obowiązkowi zadość uczynić.

Irena Breza.

**Stosunek do służby.**

Nastała wiosna, byłoby wychodzić już na trawę. Czy słońce jasno świeci, czy deszcz pada, czy spokój w przyrodzie, czy burza miota piorunami, pastuszek wytrwale strzeże na pastwisku dobytku swoich gospodarzy. Nieraz mu żar słońca zbyt mocno dokucza, albo ulewa wsiąka aż do szpiku kości. Może czyhają na niego tam z dala od chaty i opiekunów wpływy złych ludzi: chłopców dorosłych, źle wychowanych, lub dziewcząt płochych, żyjących w swawoli.

Niechże gospodyni zajmie się szczerze swym pastuskiem. Niech w wolnej chwili sama dogląda, czy jej opiece powierzony nieletni sługa nie jest narażony na zepsucie. Wszak pastwiska gromadzą najczęściej bydło z całej wioski, a więc skupiają razem i dzieci i młodzież pilnującą krów. Wśród tych pasących znaleźć się mogą jednostki złe i zepsute. Pastuszkowie chętnie zbliżają się do siebie, bawią się wspólnie, rozmawiają, śpiewają. Chodzi więc o to, aby nie dopuścić do złych zabaw, do złych rozmów, do plugawych piosenek. Chronić trzeba od niepożądanych wpływów, strzec serca i duszy pastuszka i czystości jego myśli.

Powinna też gospodyni dbać i o jego zdrowie. Dać mu kapelusz słomiany na upał, żeby go chronił od udaru słońca. Pastuszcze włożyć na główkę jasną chuścinę. W razie deszczu trzeba zarzucić na nich ochronne okrycie, choćby z worka. Do kieszonki, to już niezależnie od pogody oczywiście, włożyć kawałek chleba.

A jakżeby to pięknie było, gdyby gospodyni do drugiej kieszeni włożyła jaką śliczną, pożyteczną książeczkę. Żeby zamiast słuchać brzydkich słów, jak to się często zdarza, zamiast źle się bawić, czytał sobie pastuszek piękne historie z książeczki. Możeby jeszcze, czytając głośno, i innych do słuchania zachęcił.

Był ongiś za dawnych, lepszych czasów piękny, staropolski zwyczaj. Wyruszający z bydłem pastierz żegnał się krzyżem świętym.

„Krzyżyk znaczą na mym czole  
I z bydełkiem ruszam w pole“ —

— tak brzmi stara, pasterska piosenka.

Zwyczaj ten, jak tyle innych, zaginął niestety. Ale przecie nie tak trudno go wznowić. Jak ongiś nasze prababki, możemy i my dzisiaj nauczyć pastuszków wyruszać na pastwisko z Imieniem Boga na ustach. I zawsze prosić gorąco Matkę Najświętszą o opiekę Jej przemożną nad nimi i pamiętać, że wielką przed Bogiem i przed ludźmi bierzemy

odpowiedzialność za te młode istoty, zmuszone u obcych pracować już tak wczesnie, a naszej powierzonej opiece.

**Do grobu Kingi.**

W niedzielę 25 lipca br. przypada w Starosądeckim klasztorze SS. Klarysek odpust ku czci bł. Kingi. — Tyle mamy, my kobiety-matki, potrzeb, tyle nam trzeba łask, tyle pociechy i pomocy — spieszmy więc w pielgrzymce do grobu bł. Kingi, która u Boga wyprosić nam może tak wiele, która, żyjąc na naszej podhalańskiej ziemi, lepiej nas rozumieć potrafi i z ochotą wielką prośbami u Bożego tronu wspomóż. — To patronka kobiet w naszej diecezji, wzór małżonki, wzór apostołki, wzór miłośniczki niewiasty — spieszmy do niej i innych z sobą pociągniemy.

Nieszporami w dniu 24 lipca br. rozpoczną się uroczystości — mamy okazję do spędzenia na modlitwach w ciszy i skupieniu kilkunastu godzin. — Której z nas obowiązki rodzinne pozwolą — ta niech znajdzie się w Starym Sączu w gronie czcicieli bł. Kingi, a w modlitwach swoich niechaj pamięta o Akcji Katolickiej i pod specjalną opieką od- da bł. Kindze — K. S. K.

Brat Andrzej.

# K U Z J E D N O C Z E N I U Z B O G I E M

A z szeregów Akcji Katolickiej wyjdą nowi wyznawcy, nowi męczennicy, nowe dziewice oraz „niewiasty mężne“, aby obronić cywilizację chrześcijańską, tak bardzo dziś zagrożoną. Tak bardzo potrzeba, by szeregi Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet miały jak najrychlej wielką liczbę „niewiast mężnych“, czyli doskonałych. Niżej podane myśli do rozważań — wskażą drogę, wiedzącą na szczyty doskonałości. Oby wszystkie czytelniczki zdecydowały się ochotnie i ofiarnie podążać tą drogą i życie swe poświęcić całkowicie Temu, od którego to życie otrzymały.

## I. TYDZIEŃ. POKORA.

Każda niewiasta, a zwłaszcza członkini Akcji Katolickiej, w obecnej ciężkiej dobie winna więcej niż kiedykolwiek pragnąć stać się „niewiastą mężną“, czyli doskonałą. Jesteśmy bowiem obowiązani dążyć do doskonałości. „Bądźcie, tedy doskonałymi, jako Ojciec wasz niebieski jest doskonałym“. Oto nakaz Pana Jezusa.

Punktem wyjścia, stacją wyjazdową w podróży do szczytów doskonałości jest pokora, czyli przekonanie głębokie, stanowcze — nie teoretyczne tylko, lecz praktyczne — że się jest niczem, absolutnie niczem przez siebie samą, przekonanie, że się jest tylko ubogą żebraczką w odniesieniu do Boga, obowiązana wyciągać doń rękę każdej chwili.

„Zależność moja od Boga jest całkowita — trzeba sobie powtarzać często — otrzymuję od Boga życie każdego momentu. Bóg mi udziela jałmużny z tego tchnienia, które jest mem życiem. Jeśli Bóg cofnie rękę Swoją — obrócę się w nicłość. Od Boga mam wszystko. I to, że żyję, i to, że nie choruję, i to, że nie spotkał mnie śmiertelny wypadek, jak tyłu innym się przydarzyło. Wszystko mam od Boga — jestem od Niego całkowicie zależna“.

Zastanów się nad tym, matko droga, szerzej jeszcze i odpowiedz sobie na pytania: Czy Pan Bóg radził ci się, kiedy ma cię stworzyć? Czy Pan Bóg zapytał cię, kiedy będziesz sobie życzyła umrzeć? Czy nie od samego Boga, od Jego potęgi i dobroci zależy, jakie otrzymasz dary przyrodzone i nadprzyrodzone?

A więc przyznaj, że jesteś całkowicie od Boga zależna, żeś wszystko od Niego otrzymała. A jeśli wszystko co masz, pochodzi od Boga, jakżeż nierozumnie byłoby się chełpić swymi zdolnościami, urodą, pracą, działalnością nawet zbożną?

Uważaj się zawsze za żebraczkę w oczach Bożych — tyle masz osobistych potrzeb, tyle pola do pracy wskazuje ci Akcja Katolicka. Z pokorą, jak żebraczką, wyciągaj ręce do Pana Boga i mów: „Panie, ja nie sama nie mogę — Ty bądź moją siłą“.

Skutek takiej postawy wobec Boga i takiej modlitwy będzie niezawodny.

## II. TYDZIEŃ. SŁUŻBA BOŻA.

Stacją wyjazdową w dążeniu do doskonałości jest pokora; utrzymując się ustawicznie w pokorze, w przekonaniu o całkowitej zależności od Boga — trzeba ohotnie pełnić służbę Bożą.

Czykolwiek jesteś — dziedziczką czy wieśniaczką, profesorką czy wyrobnicą, learką czy kucharką — pamiętaj, że te tytuły zawodowe są tylko zewnętrzną etykietą; właściwym i istotnym twym tytułem i zawodem winien być: służebnica Boża.

Posłuchaj. Kościół św. przed trumną uczonego, pułkownika, robotnika, cesarza, nawet papieża odmawia tę modlitwę: „Pomnij, Panie, na sługę twego“... Kościół św. nie zna wtenczas, ani wylicza tytułów. Istnieje dla Niego jeden tytuł: Sługi lub służebnicy Bożej!

O, jakże trzeba utrzymywać ustawicznie w życiu tę postawę pokornej służebnicy Bożej! Zastanów się, matko droga, i odpowiedz sobie: Jak odnosiłam się do Boga ja, Jego służebnica? Jak zachowywałam się na modlitwie, w kościele, podczas Mszy św.? Czyż mam ducha prawdziwej służebnicy Bożej, unikając w życiu krytykowania drugich, sprawiania im goryczy i w ogóle tych wszystkich rzeczy, które zabijają miłość?

Służyć Bogu — to jest postawić Go na pierwszym planie w mych myślach, w mych czynnościach, to jest spełniać to, co Jemu się podoba, a nie to, co mnie! Cokolwiek czynisz: czy masz w rękę pióro, czy igłę, czy miotłę — zawsze i wszędzie bądź służebnicą Bożą! Nie ma chwili w twym życiu — kiedybyś nie była obowiązana do Jego służby. Na zapytanie, co robisz? — trzeba, byś mogła zawsze odpowiedzieć: Służę Bogu!

Zastanów się, matko droga, nad twym postępowaniem. Rozważ konieczność ustawicznej służby Bożej. Zrób sobie na podstawie tego rozmyślenia praktyczne postanowienia i zastosuj je w swym życiu. Powtarzaj sobie często zdanie jednego z Ojców Kościoła: „Służyć Bogu — to królować“!

## III. TYDZIEŃ. MODLITWA.

Chcąc być naprawdę pokorną służebnicą Bożą — trzeba się ustawicznie modlić. Pan Bóg tego od nas się domaga. Niewiastą mężną czyli doskonałą jest ta, która jest do głębi przekonana, że jest pozbawiona osobistej mocy, a całą jej mocą i siłą jest Bóg. Do Boga zwraca się ustawiczną modlitwą, zebrząc o łaski i zmiłowanie. A Bóg, który taką pokorną służebnicę kocha — otworzy jej Swe ręce pełne łask — a więcej niż ręce Swoje Serce.

Ważną jest rzeczą umieć się zawsze dobrze modlić. Trzeba wyzbyć się raz na zawsze „wynówki: Nie jestem teraz usposobiona do modlitwy! Bóg ma zawsze prawo i zawsze domaga się z naszej strony modlitwy, bez względu na to, czy uczucia nasze są więcej lub mniej gorące. Skoro tylko uczynimy z naszej strony to, co możemy i moralnie i fizycznie, Bóg będzie z nas zadowolony.

Jest niedźzy nami a Bogiem, między Jego Majestatem nieskończonym a naszą nędzą olbrzymi ocean, którego o własnych siłach nie potrafilibyśmy nigdy przebyć. Sam Jezus Chrystus łączy przez swe Człowieczeństwo, przez swój Krzyż naszą nieudolność z Bogiem. Dlatego On sam nam zlecił, byśmy modły zanosili do Boga w Imię Jego: „Przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego“.

Modlmy się zatem — w pokorze najgłębszej — w Imię Jezusa Chrystusa, modlmy się ustawicznie. Pokora, służba Boża i modlitwa zaprowadzą nas do wysokiej świętości. Niech każda członkini Akcji Katolickiej dwakroć więcej się modli od innych. Bo prócz własnych, osobistych potrzeb — niech przedstawia Bogu do wysłuchania potrzeby Kościoła św. — całą działalność Akcji Katolickiej.

Zastanów się teraz, matko droga, nad sobą i odpowiedz sobie: Jak pojmujesz modlitwę? O co zwyczajnie Boga prosisz? Kiedy modlisz się za Akcję Katolicką, za jej pracowników? — Zrób sobie praktyczne postanowienia i pamiętaj na słowa Pana Jezusa:

„Trzeba się zawsze modlić, a nigdy nie ustawać“!

## IV. TYDZIEŃ. PAN JEZUS I JA.

Jeśli chcemy dobrze się modlić, trzeba oprzeć się na Panu Jezusie — bez Niego nic nie możemy zdziałać. Trzeba przynajmniej uchwycić rąbek Jego płaszcza. A trudno niewieście „współczesnej“ zbliżyć się do Chrystusa Pana. Przeszkadza jej tłum, nie tylko ten tłum ześwieczonych katolików, ale tłum jej zajęć, pochłaniających ją całkowicie, tłum rozrywek, tłum przesądów, a może i obawy, by Go nie dotknąć, iżby On się nie odwrócił i nie spojrział może z wyrzutem.

Przebywamy z dala od Pana Jezusa, bo Go nie znamy — a tymczasem On jest nam tak bliski, bo jest również prawdziwym człowiekiem. Zna życie ludzkie dobrze — przestawał z dziećmi, rozmawiał z niewiastami, leczył chorych i kaleki, dobrze Mu było wśród ubogich rybaków, — grzeszników i grzesznie z miłością i z wielką wyrozumiałością przyjmował, zachęcając do stanowczej poprawy.

Tak bliski i dostępny był dla wszystkich, bardziej dostępny, niż apostołowie, którzy nie chcieli dopuścić do Niego niewiast z dziećmi. Był zawsze prosty, dobry, delikatny, każdemu dobrze czynił.

Św. Paweł powiada, że Pan Jezus jest taki sam dziś, co był i niegdyś. Taki sam pozostanie na wieki.

Więc czemu nie mam się zbliżyć do Niego i ja? Czemuż nie mam Mu przedstawić całego bagażu mych nędz, potrzeb i słabości? Nie zdziwi Go żaden rys mego charakteru, nie zaskoczy Go żadna moja myśl, żadne uderzenie mego serca!

O, powiedz sobie tak, matko droga! Zbliżaj się i zdążaj do doskonałości przez głęboką pokorę, służbę Bożą, modlitwę i to ustawiczne zjednoczenie się z P. Jezusem. Niech Jego postać będzie zawsze przed oczyma twej duszy. On twoim jest Bogiem, On twoim Ojcem, Bratem i Przyjacielem! Im bardziej słabą, im więcej grzeszną jesteś — tym spieszniej idź do Niego, bo On sam mówi:

„Nie przyszedłem dla sprawiedliwych, ale dla grzesznych“. — „Nie przyszedłem dla dobrze się mających, ale dla chorych“!

Teresa Szyrajew.

## Dobroczynny wpływ.

Po dłuższej nieobecności, Kinga wróciwszy z Węgier do Polski, nowe dobrodziejstwa ściągająca na swoją przybraną ojczyznę. Złotem, przywiezionym z Węgier, nieustannie zasilala skarb zrujnowanego państwa. Kraj dźwigał się. Miasta i wsie przychodziły do dawnego porządku — budowano świątynie, klasztory, szpitale i t. p.

Król Bolesław wcześniej osierocony, nie mając męskiego kierunku w swym wychowaniu, nie wyrobił w sobie charakteru, potrzebnego monarsze. Serce miało dobre, ale brakiem rycerskiego ducha i sprawiedliwości w sądach raził i zniechęcał swych poddanych.

Kinga, patrząc na ucisk wdów i sierót i pokrzywdzony lud biedny, karciała przekupstwa, potwarze i wykrety możnowładców. Dochodziła praw słusnych, broniła ciemiężonych. Dobrocią, prośbą, radą, upomnieniem i bezgranicznym swym zbawieniem wpływem często odwoziła króla od nakładania uciążliwych, nadmiernych podatków i kar. Szkoły, spowodowane łowami, którym się król namiętnie oddawał, hojnie wynagradzała.

Gdzie dziś kaplica Wazów, w środku wawelskiej katedry, tam ułożono w dziesięć lat po śmierci męczenniczej zwłoki św. Stanisława, biskupa krakowskiego, zamordowanego w roku 1079 świętokradzką ręką króla Bolesława Śmiałego. Grób ten zasłynał cudami i przez długie lata gromadził lud pobożny z całej Polski i zagraniczny, aby za przyczyną tak wielkiego męczennika uprosić sobie niezliczone łaski.

Za tak wielką zbrodnię, wielkie klęski spadały na kraj. Każdy to przyznawał, ale nikt nie myślał o kanonizacji męczennika i wynagrodzeniu tak wielkiej zniewagi.

Kinga, mieszkając na wawelskim zamku, często odbywała pielgrzymki do katedry, aby wyprosić za przyczyną św. Biskupa przebaczenie i uwolnienie od klątwy i interdyktu, jakiemu podlegał król i naród. Gdy po burzy tatarskiej Polska nieco odetchnęła i jaśniejsze chwile nastąpiły, Kinga nie przestawała nakłaniać i zachęcać tak króla, jak i biskupa Prandotę do rozpoczęcia pierwszych króków kanonizacyjnych.

W roku 1249 poselstwo, składające się z kanonika, dziekana i przeora dominikańskiego, udało się do Lionu, gdzie przebywał na wygnaniu papież Innocenty IV., z prośbą o kanonizację. Papież wyznaczył komisję dla zbadania faktu męczeństwa i prawdziwości cudów. Proces trwał trzy lata ze względu na przeszkody i trudności. Wreszcie 1253 roku, w uroczystość Najśw. Marii Panny, w bazylice św. Franciszka z Asyżu, dokonano aktu, a na 8 maja wyznaczono święto. W chwili kanonizacji wielki cud wskrzeszenia młodzieńca objawił świętość polskiego męczennika. Papież Innocenty IV. modlił się nad zwłokami syna zrozapconej matki w te słowa: „Potwierdź, Panie, to, com słyszał o męczenniku Twoim Stanisławie, biskupie krakowskim i przez zasługi i przyczynę jego wzbudź młodzieńca tego zmarłego, boś Ty jest dziwny w świętych Twoich Jezu, Boże nasz“. — W tej chwili młodzieniec ów z trumny wstał.

Podczas ekshumacji Kinga własną ręką wyjmowała kości świętego biskupa z dawnej trumny,

zmywała winem i wkładała do relikwiarza w kształcie trumienki, przez nią sprawionego na tę uroczystość. Relikwiarz złożono na ołtarzu i przykryto drogą tkaniną, wyszytą perłami, haftowaną złotem i srebrem ręką Kingi.

Staranie Kingi o kanonizację, przyczyniło się do podniesienia powagi króla i znaczenia narodu polskiego wobec innych państw. Duch narodu, przynęciony wojną i rozterkami wewnętrznymi, podniósł się i ożył moralnie, a król Bolesław Wstydlawy pod wpływem Kingi, nadał ku czci św. Stanisława wsiom krakowskim zupełną wolność.

Jak o zewnętrzne dobro kraju, tak i o moralną stronę swego ludu dbała Kinga gorliwie. Nie szczędząc czasu, mienia i sił swoich, aby tam spieszyć, gdzie coś naprawić trzeba lub udoskonalić — namowa, prośba, rada, nawet groźbą posługiwała się, byle tylko uchronić od grzechu i zgorzenia. Oto mały przykład: W pewnej okolicy Krakowa, we dworze, bogaty pan publicznie gorszące prowadził życie. Żoną swą gardził, bił, głodził, z czeladzią trzymał, a żył z wiejską jakąś poddanką. Powiadomiona o tym Kinga, udała się do tegoż pana i tak umiała przemówić do rozumu, serca i sumienia jego, wykazując zło występku i karę Bożą, że gorszyciel pojednał się ze swą prawdziwą żoną i zmienił życie. Ową dziewczynę zabrała Kinga do siebie, by ją uchronić od ponownego grzechu.

Jak promienie słońca po gwałtownej ulewie i wichurze cieszą oko i serce, tak dobrotliwej i mądrej królowej Kingi obecność w kraju rozweselała każdego, kto był jej wiernym, wdzięcznym i posłusznym poddanym.

## W S Ł U Ż B I E O J C Z Y Z N Y

Laura Markowska.

**Samarytanka.**

Od zarania ludzkości inne zadania do spełnienia i inne cele przyświecały mężczyźnie, a inne kobiecie. Podczas gdy mężczyzna, założywszy rodzinę, musiał walczyć o jej byt, kobieta, jako istota z natury słabsza i uczuciowa, zajmowała się wychowaniem dzieci i gospodarstwem domowym. A gdy choroba nawiedziła jej dom, spełniała rolę opiekunki i pielęgniarki, do czego przygotował ją sam Bóg, obdarzając sercem tklivym, cierpliwym i miłosiernym.

I chociaż wieki przeszły ponad nami, a kultura stopami olbrzyma ruszyła naprzód, rola kobiety nic się nie zmieniła. Stworzone na to, aby być matkami, wzięłyśmy na swe barki wszystkie jej trudy, zdolne do najwyższych poświęceń, zaparcia się siebie, a nawet bohaterstwa. I nie tylko w kole rodzinnym, ale i wśród obcych, a nawet w szpitalach. Od wieków spełniałyśmy tę opiekuńczą rolę, niepomne na trud, przewyciężając wrodzony wstręt, niesione uczuciem litości i chęcią udzielenia pomocy bliźnim.

Nie chcę przez to powiedzieć, że zadanie nasze w życiu społeczeństwa ograniczało się tylko do służby samarytańskiej, bo życie mówi co innego. Ostatnie stulecie, względnie ostatnie dziesiątki lat, ukazują nam cały szereg postaci niewieścich na takich stanowiskach, jakie nigdy przed tym nie były udziałem kobiet. Na każdym prawie polu działalności kobieta dorównuje mężczyźnie, czasem nawet go przewyższa zdolnościami, odwagą, czy inicjatywą.

Przeglądając karty historii ubiegłego stulecia, nie możemy przejść obojętnie obok wielu postaci kobiecych, a zwłaszcza jednej, która dziwnie promieniuje i wybija się z tła swojej epoki.

Chcę mówić o Klaudivie z Działyńskich Potockiej. Okres jej narodzin przypada w chwili, gdy cała Europa drży w posadach, a pojęcia światowe ulegają przeobrażeniu i powstaje nowa konfiguracja Europy. Przychodzi na świat w roku 1802 w Poznańskim, w majątności Kórnik, należącej do arystokratycznego i starego rodu Działyńskich. Wychowana religijnie i starannie, w dobrobycie i dostatku, od wczesnego dzieciństwa nie okazywała skłonności do przepychu i zbytku. W głębokich i pełnej zadumy jej oczach czaił się skrycie jakiś nieznan, daleki cel, a w sercu tliło zarzewie litości dla wszelkich cierpień i nędzy. W 22 roku życia poślubiła hrabiego Potockiego, a kilka następnych lat jej życia przypada właśnie na okres

walk i wielkich nadziei narodu polskiego, a mianowicie na czasy powstania listopadowego 1830 i 1831 roku.

Odtąd rozpoczyna się jej działalność na szerszej arenie życia. Z pałacowych komnat i czarownego zacisza zstępuje na twarde, żołnierski szlak, by w zamięcie krwawej wojny nieść pomoc rannym i nieszczęśliwym. Przywdziawszy szarą, wełnianą suknię Samarytanki, zjawia się nagle jak nadziemski istota w szpitalach i przytułkach, wśród odgłosu bitwy, jęku rannych i konających. Pod jej wpływem i inicjatywą, najzaciejsze kobiety z najlepszych rodów oddają się na usługi obdarty, bosych i wynędzniałych żołnierzy. I gdy wszystkim ręce opadają z wysiłku i zniechęcenia, Klaudiva, niepomna na wyczerpanie i słabe zdrowie, trwa nieugięta na stanowisku. Jej wpływ na otoczenie jest dziwny i niewytłumaczony, szczególnie wobec rannych i chorych. Zdawało się niektórym, że pod dotknięciem jej dłoni, pod uduchowionym jej spojrzeniem ustępują bóle, goją się rany. Niejeden z umierających przyzywał ją ku sobie, by słodkie jej ręce przysłoniły gasnące jego źrenice. Generałowa Benigna Małachowska tak pisze o niej: „To, co mogła i robiła Klaudiva, tego żadna z nas dalej prowadzić nie może“.

Skąd tyle czaru i słodyczy w jej spojrzeniu? Skąd tyle miłosierdzia w jej sercu? Byłaby to może postać nie z tego świata? Może Bóg miłosierny zesłał na ziemię umyślnie tego anioła, aby w przełomowych i tragicznych dla narodu naszego czasach niósł otuchę i wiarę w lepsze „Jutro“. Jakby w przeczuciu proroczym, że niepodległość wywalczyć sobie musimy, pisze Klaudiva w r. 1831: „Moje marzenia chwały, szczęścia i niepodległości sięgają w przyszłość dalszą, aniżeli ta, którą wojsko nasze rozporządza. W wieku dziewiętnastym sprawa nasza zginąć nie może. Wierzę w przyszłość Ojczyzny“.

Gdy w czasie kampanii 1831 r. wybuchła w wojsku i wśród ludności cywilnej cholera, gdy szpitale i lazarety zapełnione były chorymi, Klaudiva wraz z garstką nieodstępnych towarzyszek, bez chwili odpoczynku, poświęca swój trud i czas nieszczęśliwym. Po krótkotrwałych zwycięstwach pod Stoczkiem i Olszynką Grochowska, wojska polskie pod naporem sił nieprzyjacielskich zmuszone były odstąpić Warszawę. Rozpoczyna się w historii polskiej okres tułactwa. Wraz z innymi i Klaudiva udaje się na emigrację.

Początkowo przebywa w Paryżu, przeznaczając cały swój majątek i wszystkie klejnoty na cele publiczne, na zapomogi dla biednych żołnierzy-emigrantów, pędzących swój nędzny, tułaczy żywot

na obczyźnie. Cały Paryż ją zna. Od pałaców arystokracji, od elity towarzystwa do poddaszy i suteryn przedmieść, każdego dnia spotykano Klaudivę, spieszącą ze słowami pociechy lub pomocą materialną swoim rodakom. Wśród emigrantów ponały swary polityczne i nieraz zdawało się, że nie zdoła pogodzić najzaciejszych wrogów. — jedno słowo lub spojrzenie Klaudivy łagodziło spory i nieprzejdanych nieprzyjaciół rzucało sobie w ramiona.

Wszyscy najznakomitsi pisarze romantyczni owej epoki wyrażają się o niej w słowach zachwytu i uwielbienia. Między innymi Wincenty Pol tak o niej pisze: „Legendarna ta postać tak się wyróżnia od ogółu ludzi, tak się w każdym kierunku ponad zwyczajny ich poziom podnosi, że w legendzie też chyba mogłaby ująć od razu za prawdziwą, jako ideał“.

Chociaż zdrowie zaczyna jej nie dopisywać i Klaudiva goni ostatkami sił, jednak nie waha się ani chwili, aby umierającemu na suchoty pocie Garczyńskiemu towarzyszyć do Szwajcarii i tam pielęgnować gasnące życie poety. Mickiewicz, patrząc na poświęcenie się Klaudivy dla umierającego przyjaciela, pisze do Domejki: „Ta kobieta żyła ma tylko na parę godzin, a przecież znajduje zawsze siły do służenia innym“.

Przyjaciele Klaudivy, widząc nurtującą chorobę i coraz większy upadek jej sił, doradzili jej wyjazd do Genewy dla poratowania zdrowia. Tu jednak wkrótce, zmożona pracą, niestrudzona apostołka chorych, która całe swe krótkie życie poświęciła dla bliźnich, dnia 8 czerwca 1836 r. zamknęła na zawsze powieki, oddając swego świetlanego ducha w ręce Wszemocnego Stwórcy.

Za życia otaczano ją czcią prawie świętych — zdarzały się wypadki, że ludzie przed nią na ulicy kłękali. Jaką czcią otaczana była, niech świadczy fakt, że po jej śmierci czciciele jej rozdawali między sobą pierścienie z napisem: „Klaudivo, módl się za nami“.

Gdy po upływie dziesiątków lat patrzemy na świetlaną postać Klaudivy z Działyńskich Potockiej, wydaje nam się ona legendą, bajką, snem drogim! I gdyby nie świadectwo, słowa uznania i zachwyty współczesnych jej, trudnoby uwierzyć, że może istnieć serce tak tklive na ból, cierpienie i niedostatek, tak potężna wola służenia bliźnim. Klaudiva Potocka jest jednym z tysięcy przykładów, że serce kobiety było, jest i będzie niezgłębiona tajemnicą i że tylko to serce, gdy chce, może cudów dokazywać. Jest ona dla nas nieosiągalnym wzorem wszystkich cnót i przymiotów prawdziwej POLKI - SAMARYTANKI!

Maria Jordanowa.

**Z życia organizacji Kobiet Katolickich.**

Z początkiem kwietnia 1937 r. odbył się w Brukseli Zjazd Kobiet Katolickich z 20 krajów. Głównym celem tych dni studiów: przygotowanie Kongresu Międzynarodowego Kobiet Katolickich, który się odbędzie w czasie Wielkanocy w roku 1939. Omawiano i poddano dyskusji stanowisko kobiety w świecie współczesnym.

Referaty omawiały: osobowość kobiety — duszę kobiety — kobieta i jej odpowiedzialność — posłannictwo kobiety wedle nauki Kościoła i inne. Głęboko przemysłane referaty wzbudzały wielkie zainteresowanie.

Te dni studiów otworzyć raczył JE. Kardynał von Roey, a zaszczylił swoją obecnością Nuncjusz Apostolski.

Zjazd stwierdził, że celem kobiety, wynikającym z praw natury i warunków życia społecznego jest założenie rodziny.

Dobro nie tylko kobiety, ale i mężczyzny i dzieci leży w rodzinie. Istotą życia rodzinnego jest trwałość instytucji małżeńskiej — dlatego zjazd domagał się „wprowadzenia do prawodawstwa wszystkich narodów jedności i nierozzerwalności związku małżeńskiego“.

Zasadniczą funkcją rodziny jest wychowanie dzieci, ale żeby wychować dobrze, trzeba być samemu dobrze wychowanym i przygotowanym do tego zadania, dlatego zebrane na zjeździe domagają się, aby rodzice starali się o jak największe uświadomienie co do swych obowiązków sumiennego wychowania dzieci i przygotowali się do tego trudnego dzieła.

Ponieważ zjazd zajmował się wszystkimi przejawami życia kobiet — a więc wziął pod uwagę i kobietę pracującą zawodowo, rozpatrywał sprawę sprawiedliwej zapłaty dla kobiety pracującej czy w biurze, czy w fabryce, w stosunku do pracy mężczyzny i stanął na zasadzie: „równa płaca za równą pracę“.

Równocześnie kończyły swoje obrady zebrane w Brukseli reprezentantki „młodych“. Było ich 250 delegowanych z 22 krajów, między innymi i z Polski. Były przedstawicielki Ameryki północnej i południowej, nawet z Azji, oczywiście głównie z Europy.

Przedstawicielka Młodych Polek mówiła o misji intelektualnej młodych, Francuska o misji apostołskiej młodych katoliczek, Angielka o obywatelskim ze stanowiska katolickiego. Jeden z ostatnich referatów omawiał apostołstwo córki i siostry w rodzinie: Konieczność uświadomienia kobiet, że życie w rodzinie najnormalniejszym źródłem szczęścia.

Atmosfera tych obrad i zbliżenie starszego pokolenia i młodych były bardzo miłe i podnoszące na duchu.

\* \* \*

Na specjalne życzenie Ojca św. wyjechała dla badania i organizowania Akcji Katolickiej wśród kobiet wiceprezeska Unii Kobiet Katolickich, Belgijka pani de Hemptinne, która w tej misji odwiedziła 21 krajów — była w Australii; wracając odwiedziła Indie. Obecnie była na wszechindyjskim Kongresie Katolickim w Trichur — przemawiała o ruchu bezbożniczym, o metodach propagandy bojowników ateizmu i o przeciwdziałaniu.

W sprawozdaniu swoim pisze, że była pod wrażeniem pracy misjonarzy i zakonnic, którzy pracują w warunkach bardzo ciężkich, z ogromnym poświęceniem i dużym powodzeniem. W ważniejszych centrach katolickich urządzała zebrania, w których udział brali: księża, zakonnice i elita kobiet katolickich miejscowych. Został ułożony z zakonnicami, mającymi szkoły i internaty prowizoryczny statut Akcji Katolickiej wśród uczennic klasztornych. Ta praca miała się rozpocząć zaraz, a następnie wśród tych, które pokończyły nauki. Należy się spodziewać, że wdrożenie od dzieciństwa do pracy apostołskiej da dodatnie rezultaty.

**OD REDAKCJI.**

W myśl zapowiedzi ukazywać się będzie od lipca br. począwszy bezpłatny „Dodatek do Własnymi Siłami“ pod nazwą: „Dbaj o zdrowie!“ — poświęcony zagadnieniu osobistej higieny kobiecej.

Do każdej przesyłki „Własnymi Siłami“ dołączona będzie osobna paczka ze wspomnianymi dodatkami „Dbaj o zdrowie!“ — które rozdawać będą PT. Prezeski Oddziałów członkiniom, abonującym pismo nasze „Własnymi Siłami“.

Dodatki będą wydane w formie kartek, które będzie można składać i kiedyś oprawić w książkę, zawierającą cenne wskazania i pouczenia dla kobiet w celu utrzymania ich zdrowia i nie dopuszczania do ciężkich i przewlekłych chorób.